

Stanisław Gębala

Wrzesień w eseistyce

Biuletyn Polonistyczny 33/3-4 (118-119), 99-114

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STANISŁAW GĘBALA

WRZESIEŃ W ESEISTYCE

"Nie mogę zapomnieć jednego epizodu z mojej wędrówki wojennej we wrześniu 1939 roku. Szosą warszawską, w okolicy opanowanej już przez Niemców, szedłem wraz z kilkunastu przypadkowymi towarzyszami drogi. Stojący przy szosie esesmani w świetnych mundurach, odżywieni i uzbrojeni po zęby, patrząc na naszą wynędzniałą gromadkę ironizowali z pańska: »Intelligenten, Doktoren, Philosophen...« Słowa te padały jako najgorsze obelgi z ust zbrojnych przedstawicieli »narodu poetów i filozofów«."¹

To wspomnienie Mieczysława Jastruna z eseju "Podobny do bogów". Sytuacja jakby stworzona do egzystencjalistycznych analiz: autor zobaczył siebie jako odbicie w oczach drugiego człowieka. Ale ten człowiek był nadczłowiekiem - więc jego spojrzenie degradowało do rzędu podludzi. Owi podludzie na warszawskiej szosie nawet nie budzili w nadludziach instynktu agresji; byli po prostu komiczni w tej swojej inteligencckości, komiczni i godni pogardy.

Jastrun chce nam powiedzieć chyba to właśnie, że doświadczenie września było przede wszystkim doświadczeniem degradacji. Bezmiar upokorzeń stał się udziałem całego narodu, jeszcze zanim spadł na niego bezmiar cierpień.

x

Nasz dorobek eseistyczny, poświęcony bezpośrednio tematyce Września 1939, jest stosunkowo szczupły. Powiedzmy od razu: Wrzesień był dla eseistów tematem mało ciekawym. Zaanektowany przede wszystkim przez poezję i beletrystykę, stał się przedmiotem egzaltacji patriotycznej, wykluczającej głębszą refleksję. Z kolei liczne pamiętniki i wspomnienia rzadko wznoszą się myślowo do poziomu eseju. Dominuje w nich relacja ze zdarzeń oglądanych zdumionymi oczyma, słabo wspomagany przez sparaliżowany grozą umysł.

Owe tragiczne zdarzenia przeciętny człowiek postrzegał w kształtach podobnych kataklizmom, jakie trafiają się w świecie przyrody. Oczywiście sam wybuch wojny nie był dla Polaków zaskoczeniem - przeciwnie: wielu na nią czekało jako na konieczne rozstrzygnięcie, które dla nich było bezdyskusyjne. Tę gorączkową niecierpliwłość ośmieszy później Witold Gombrowicz kreśląc w "Trans-Atlantyku" fikcyjną sylwetkę polskiego posła w Buenos Aires, Kosiubidzkiego Feliksa, któremu ułańska fantazja wyrывa z ust okrzyki: "na Berlin, na Berlin, do Berlina!" - ale także Stanisław Mackiewicz, który w książce "Zielone oczy" sportretuje postać jak najbardziej autentyczną i również piastującą wysoki urząd ambasadora:

"Ambasador Łukasiewicz był człowiekiem prawym i gorącym patriotą, ale na polityce zagranicznej znał się niedużo. Przed wybuchem wojny biegał po Paryżu i mówił Francuzom: zajmijcie się Włochami, bo z Niemcami sami sobie damy radę"².

W tej samej książce napisał sarkastyczne słowa, które wskazują infantylną podszewkę polskiego Września (niestety, była i taka):

"Tylko Polacy tak się cieszyli, że wojna się od nich zaczyna, tylko Polacy zachowali się wobec tej rzeczy, tak poważnej jak wojna z Hitlerem, jak chłopiec, który nie śpi całą noc, bo się boi, że go starsi nie zabiorą na polowanie na kaczki. Wszyscy inni - wszyscy - starali się zaoszczędzić swe siły na finisz wojny"³.

Bez względu na to, jak bardzo słowa Mackiewicza wydać się mogą niesprawiedliwe i okrutne, tkwi w nich niepodważalna prawda, iż niewielu tylko Polaków uświadamiało sobie, czym naprawdę może być wojna z Niemcami. A wśród tych niewielu zaledwie jednostki miały przeczucie katastrofy. Miał je z pewnością Witold Gombrowicz, który tak pisał w roku 1955 w "Dzienniku": "Wojna? Zagłada Polski? Los bliskich, rodziny? Moje własne losy? Czy mogłem przejmować się tym w sposób, jak powiedzieć, w sposób normalny, ja, któremu to wszystko z góry było wiadome, który tego dawno doznałem - tak, nie kłamię, mówiąc, że od lat obcowałem w sobie z katastrofą. Gdy to nastąpiło, powiedziałem sobie coś w rodzaju: - ach, więc już!..."⁴

Gombrowiczowe przeczucie katastrofy było jednak dość mgliste w porównaniu z zapisanym przez Jerzego Stempowskiego w 1950 roku w "Eseju dla Kassandry" proroctwem Szymona Askenazego. Przytoczmy je w całości, tym bardziej, że w krajowym wydaniu "Esejów" ("Znak" 1984) zostało ono drastycznie ocenzurowane:

"W pogodny letni dzień 1932, obszedłszy utartym szlakiem starszą część miasta, wyszliśmy w Aleję 3-go Maja i usiedliśmy na ławce. Naprzeciw zakładano właśnie fundamenty pod jakiś wielki budynek. »Co też tu zamierzają budować?« - zapytał Askenazy. »Słyszałem, że Muzeum Narodowe«. »Ze też ludzie mają zdrowie i ochotę wznosić tak kosztowne budynki w mieście na zagładę przeznaczonym.« »Dlaczego na zagładę?« - zapytałem. »Kiedy tu z panem siedzę na ławce, widzę niemal jak Niemcy jadą w samolotach i rzucają bomby na miasto.« I na moją sceptyczną uwagę o prorocत्वach, zawołał żywo: »Jak pan tego nie widzi? Jak pan może tego nie widzieć? Niech się pan przez chwilę tylko zastanowi! Czy może być inaczej?« Znałem wówczas nieźle sprawy niemieckie i jego dalsze wywody wydały mi się bardzo prawdopodobne.

Tymczasem Askenazy rozwijał dalej swą wizję przyszłości:

»Tylko zupełnie naiwni mogą sobie wyobrazić, że Polska może toczyć wojnę inaczej niż na dwa fronty. Niemcy nie mogą przekroczyć granicy pod Zbąszyniem bez tego, aby Rosjanie przekroczyli ją ze swej strony pod Baranowiczami. Trzeba się liczyć z najprostszym mechanizmem takich wypadków. Przed uderzeniem na Polskę Niemcy zgromadzą przeważające siły i zapewnią sobie neutralność czy bezczynność mocarstw zachodnich. Będzie więc prawdopodobne, że prędzej czy później zajmą kraj i dojdą aż do Baranowicz. Czy Rosjanie mogą czekać aż Niemcy dojdą do ich granicy? Nie. Elementarna przezorność każe im już przedtem przekroczyć granicę i zająć co się da, aby mieć coś w ręku przy pertraktacjach z Niemcami i w razie możliwego konfliktu trzymać ich jak najdalej od własnych granic. Czy tego dnia Unia Sowiecka będzie w aliansie z Niemcami czy też z Anglią i Francją czy nawet z nami, będzie to zależne od gry aliansów na ten dzień, ale bynajmniej nie zmieni sprawy. Przejście granicy i zajęcie wschodniej części Polski będzie w owej chwili dla Rosji sprawą nierównie pilniejszą od gry aliansów«.

I po chwili namysłu:

»Ten sam mechanizm działa także w razie pokojowego przebiegu wypadków. Jeżeli dla jakichś przyczyn Polska będzie musiała cedeować Rosji Wilno i Lwów, następnego dnia będzie musiała oddać Niemcom Śląsk i Pomorze. Po oddaniu Lwowa i Wilna dalsza egzystencja Polski byłaby możliwa tylko w oparciu o Niemcy, i to opar-

cie kosztowałyby ją Śląsk i Pomorze. I na odwrót: w razie konieczności cedowania Niemcom Śląska i Pomorza dalsza egzystencja Polski byłaby możliwa tylko pod opieką Rosji, która w zamian zażądałaby Lwowa i Wilna. Zresztą po takim okrojeniu nie byłoby już mowy o jakiejś egzystencji niepodległej. Dla mocarstw zachodnich Polska jest tylko pionkiem do szachowania bądź Niemiec, bądź Rosji i po okrojeniu nie przedstawiałaby już żadnej wartości».⁵

Proroctwo Askenazego właściwie przekreśla sens wszelkich dociekań na temat możliwych wariantów polskiej polityki przedwrześniowej, gdyż Polska - jego zdaniem i chyba także zdaniem Stempowskiego - nie była w stanie prowadzić żadnej skutecznej polityki. "Pionek do szachowania", który sobie wyobraża, że jest podmiotem rozgrywki, staje się tylko groteskowy.

I znów trzeba by wrócić do Gombrowicza, to on najdobitniej pisał w "Dzienniku" o atmosferze groteski, która zaczadziła dwudziestolecie. Ale kpina z mocarstwowej tromtadracji stała się już zbyt łatwa, spróbujmy zatem mówić o tych sprawach wyłącznie serio. Wydaje się, że sedno problemu tkwi w tych dwóch pojęciach: podmiot i przedmiot. Polacy nie mogli, nie chcieli i chyba nie umieli się wyrzec swoich podmiotowych aspiracji, odmawiając konsekwentnie przyjęcia roli "pionka do szachowania". Błędnej samooceny dokonaliśmy już w roku 1918 ogłaszając, że oto pojawiliśmy się na szachownicy samoistnie i prowadzimy samodzielną grę. W rzeczywistości zostaliśmy ustawieni tam przez potężne siły, które traktowały nas wyłącznie przedmiotowo. Tylko uświadomienie sobie i zrozumienie tej dość upokarzającej sytuacji mogło być punktem wyjścia jakiejś w miarę sensownej polityki; myśmy natomiast naszą oparłi na permanentnym zaprzeczaniu faktom. W przyjętej za obowiązującą interpretacji momentu odzyskania niepodległości tkwił już załączek katastrofy Września 1939. Gombrowicz we wspomnianej rozprawie z dwudziestolecie międzywojennym używa w pewnym momencie zastanawiającego zwrotu: "Powietrze wolności zostało nam dane [...]". Po między tym stwierdzeniem, iż wolność z o s t a ła n a m d a n a, a przekonaniem, iż sami zdołaliśmy się "wybić na niepodległość", istnieje przepaść. Niestety, obowiązująca stała się ta druga wykładnia niosąca w sobie niebezpieczne złudzenia polityczne. Wrzesień 1939 był przede wszystkim kresem wszelkich złudzeń.

Wymiar psychologiczny katastrofy niesłychanie sugestywnie po-

kazuje esej Kazimierza Wyki "Pamiętnik po klęsce", napisany zimą 1939/1940, a ogłoszony drukiem dopiero w roku 1984. Nie ukończony przez autora, który wiele fragmentów wykorzystał w esejach z wydanego w 1957 roku tomu "Życie na niby", wydaje się "Pamiętnik po klęsce" świadectwem trudnym do przecenienia. Świadectwem-powtórmy - w sensie raczej psychologicznym niż faktograficznym; tym bardziej więc cennym, bo utrwalającym to, co z rzadka tylko bywało odnotowywane w rozmaitych kronikach wydarzeń tamtej jesieni. Ale znaczenie "Pamiętnika" daleko wykracza poza ów charakter świadectwa czy dokumentu psychologicznego, znajdujemy w nim bowiem jakby zarys tej drogi, którą przebyła później przeważająca część literatury czasu wojny i okupacji, przetwarzając realne doświadczenie w legendę o zakroju niemal homeryckim. Lektura "Pamiętnika" z wyjątkową dobitnością uświadamia nam, że takie legendotwórstwo uzniosłające klęskę jest nieodpartą potrzebą psychiczną, której ulega każdy nawet najbardziej trzeźwy i krytyczny obserwator - a takim niewątpliwie był Kazimierz Wyka. W jego oczach klęska jawi się najpierw jako bezprecedensowa i haniebna, nie dająca żadnej szansy na miejsce w heroicznej legendzie:

"Pytanie jest jedno: J a k s i ę t o m o g ł o s t a ć? Jak się mogło stać, że w przeciągu kilkunastu dni rozpadło się państwo niepoślednie, obfite w obszar i mieszkańców. Jak do próby, która - nie umiemy jeszcze odpowiedzieć, nie mamy możliwości porównań, ale nie jesteśmy chyba pyszni w przecenianiu przeżyć własnych, do próby, która nie miała równych w historii naszego narodu, można go było poprowadzić w sposób tak zbrodniczo lekko-myślny? Jak w duszy zbiorowej, której wielu odmawiano cnót, lecz nigdy odwagi, mogło się objawić tyle słabości, wprost trwogi? Jak można było trwać bezkarnie, bez rozpoznania rzeczywistości, w takim samookłamywaniu i samouwielbieniu?"⁶

Wydaje się, że tak postawione pytania definitywnie uniemożliwiają jakiegokolwiek operacje mitotwórcze - a jednak już na następnej stronie na obraz tak bezwzględnie ujranej klęski wrześnieowej zaczynają nakładać się obrazy - już przefiltrowane przez literaturę - całego historycznego ciągu zbrojnych najazdów i łupieżczych pochodów:

"Żelazny i błyskawiczny pochód niemiecki zdawał się jakoś znajomy. [...] Tak samo musiało wyglądać nadejście Krzyżaków, z

takim wilczym pośpiechem przez puszcze średniowieczne przerywać się musiały, byle naprzód, byle najdalej, zagony Tatarów. I ta sama przed nimi biegła wieść grozy, obezwładniająca wolę i decyzję, tym samym złym skrzydłem wybiegała przed krok najeźdźcy. Pancierz i biały krzyż na czołgach były krzyżackie, pośpiech i niepokój łupieżców był tatarski. Było to starcie płowowłosego Słowianina, zbrojnego w maczugę, procę i oszczep ledwo okuty, z rycerzem w hartowanej zbroi. Karabin szedł na czołg, maczuga na miecz obosieczny. Ta różnica krzyżacka zwyciężała teraz jak przed wiekami. I stąd ta klęska i wojna do żadnej niepodobna jest tak polska i chciałoby się powiedzieć - zgodna z tradycją naszych klęsk. Wystarczy sięgnąć w przeszłość, by mniej obco czuć się w jej obliczu" (s. 227).

Jest to fragment zastanawiający. Autor zmierza wyraźnie do zakwestionowania stwierdzonej wcześniej z taką dobitnością bezprecedensowości doświadczenia klęski wrześnieowej. Usiłuje to doświadczenie oswoić, znaleźć dla niego miejsce w znajomym ciągu doświadczeń historycznych, pozbawić klęskę wyjątkowości i uczynić choćby tylko "zgodną z tradycją naszych klęsk". Nie ma to na razie jeszcze nic wspólnego z działalnością mitotwórczą. Po prostu autor ucieka się do myślenia analogiami, które - choć bywa zawodne - podsuwa przynajmniej jakieś wzory zachowań samoobronnych, podczas gdy określenie powstałego zagrożenia jako bezprecedensowego pozostawia nas w jego obliczu zupełnie bezbronnymi.

Ale świadek klęski stopniowo przeobraża się w mitotwórcę; w jego relacji pojawia się trzeci - poza dwiema stronami walczącymi - uczestnik wydarzeń: "ziemia płaska i bezbronna". "Uczyniła ta ziemia wszystko, by kara dopełniła się pospiesznie i bezwzględnie." Nie zabraknie też wspomnienia jednostajnie upalnych dni i wygwieżdżonych nocy, które tak sprzyjały najeźdźcy - i w tym momencie znajdujemy się już w scenerii homeryckiego eposu, w którym żywioły przyrody angażują się po jednej ze stron walczących, by dopełnić kary. Nad relacją świadka niepodzielnie panuje już literatura; Wyka uderza w tonację elegijną, wyraźnie poetycko stylizując swoją opowieść: "O przedrannej godzinie wstawały mgły i majakiem rozcieńczały martwiejący w ostatniej kwadrze księżyc. Milczące i znużone rzesze w tych godzinach zdawały się pochodzić wprost z zapomnianych grobów powstańczych, na taką samą klęskę i

beznadziejność podniesione nocnym oddechem ziemi. Polskie, ponure zmartwychwstanie wszystkich mar, na krótką chwilę niepodległości zapomnianych" (s. 228).

Rzecz ciekawa; dwa ostatnie zdania powtórzą się jeszcze raz dwadzieścia kilka stron dalej (s. 254-5). Czy było to powtórzenie zamierzone, o charakterze refrenu, czy niezamierzone - trudno rozstrzygnąć; w każdym razie zdradza ono upodobanie autora do literatury martyrologicznej spod znaku chyba Żeromskiego, do którego zresztą (obok Orzeszkowej) Wyka odwołuje się w "Pamiętniku".

Stwierdzenie o przeobrażeniu się świadka w mitotwórcę nie oznacza jednokierunkowości i nieodwracalności metamorfozy. Współistnieją oni w "Pamiętniku" na prawach równorzędności, ciągnąc dwugłosowo relację o klęsce. "Dwugłosowa" jest również refleksja historyczna w eseju Wyki. Porównajmy np. z przytoczonymi dywagacjami o "płowłosym Słowianinie" takie oto rozważania o polskich wojnach:

"W sierpniu, kiedy nieuchronność wojny stała się już pewnikiem, a tylko jej termin był niewiadomy, wiodłem rozmowę, że nadchodząca wojna będzie dla Polski pierwszą od czasów bodaj Batorego wojną prawdziwą, obmyśloną i przygotowaną. Wojną godną państwa i narodu, który pragnie być podmiotem historii i jej świadomym współtwórcą" (s. 228). "Oczekiwaliśmy tej wojny bez lęku, nie dlatego, by zwycięstwo było pewne, lecz dlatego, żeśmy sądzili, że potrafimy nareszcie wejść do historii drogą bitą i trudną, hartownością w chwili najcięższej" (s. 229).

A jaką rzeczywistość wojenną zobaczył autor? "[...] zamiast dojrzałości i przygotowania - odwieczna polska łatanina, improwizacja, bałagan. Zamiast rozpoznania przeciwnika, przymierzenia go do sił naszych - straszliwa fanfaronada, błaga, kołtuńskie, niegodne ludzi dojrzałych otępienie, zablągowanie się po ostatni nerw. Oficerowie ze swoimi oddziałami stojący na granicach otrzymywali na odprawach mapy przygranicznych odcinków niemieckich wraz z objaśnieniem, któredy zależnie od oporu przeciwnika pójdzie własne uderzenie. A później w odwrocie zrywało się ze szkół mapy Polski, by mniej więcej się zorientować, gdzie się znalazło w rozsypce" (s. 230-1). Ta rzeczywistość wojenna zamknęła się w obrazie, który wrył się w pamięć autora jako upokarzający symbol klęski: dwóch bosych żołnierzy, bez broni, usiłujących dogonić swój oddział.

"Nonsens był skończony. Dopełnienie się przynosiło wolność od pokrzepiających kłamstw, złudzeń i wybiegów wobec siebie, nieprzejrzyste stawało się przejrzyste i tylko studnia w wiosce, dach chaty, pług były realne, nie mowy mężów stanu, wspomniane teraz z okrucieństwem. Ziemia była szczególnie obnażona, jak może być tylko dla ludzi odartych z państwa i ze wszystkich przyzwyczajęń."⁷

To już nie Wyka (choć byłaby to znakomita pointa jego relacji) - te zdania napisał Czesław Miłosz w "Rodzinnej Europie". Jego wspomnienia Września - skrótowego, migawkowego, zmontowanego jakby z kilku filmowych klitek - także nie może tu zabraknąć.

Spóźniona o całe dziesięciolecia lektura "Pamiętnika po klęsce" wyraźnie przedstawia w nim akcenty znaczeniowe. To, co jest oskarżeniem - dodajmy: jednym z pierwszych w naszej literaturze - ludzi odpowiedzialnych za klęskę wrześniową, czytamy przede wszystkim jako dokument ówczesnego stanu ducha autora. Aczkolwiek repertuar oskarżeń wydaje się wyczerpany w ciągu minionych od tamtego Września dziesięcioleci, to jednak trzeba podkreślić, że w eseju Wyki mają one wyjątkowo rzetelne oparcie w analizach polskiej rzeczywistości społecznej dwudziestolecia międzywojennego. Uderzająco trafne wydają się np. uwagi o optymizmie władz polskich jako konsekwencji materialnego uprzywilejowania całej warstwy urzędniczej. "Ci ludzie wbrew wszystkiemu, co wokół Polski się działo, musieli być optymistami" - pisze Wyka.

Za najbardziej reprezentatywną dla dwudziestolecia warstwę uważa biurokrację, która swoje "odurzenie władzą" kryła za pozorami kompetencji. Tymczasem szeregowy obywatel "odtrącany od wpływu, w końcu uznał, że niepotrzebna już jest troska o przyszłość, myślenie publiczne, ofiarność spontaniczna. [...] Spontaniczność obywatelska, odpychana i zbywana rozmyślnym niezwracaniem uwagi, przemieniła się rychło w zobojętnienie. Był to ostatni, najgorszy bodaj wynik automatyzmu biurokratycznego"⁸.

Ostatnie stwierdzenia mogą budzić zdziwienie - jeśli nie sprzeciw - dzisiejszego czytelnika, który skłonny jest raczej przypisywać społeczeństwu przedwojennemu najwyższy stopień patriotycznego zaangażowania i spontanicznej ofiarności. Zasadność tych zarzutów można sprawdzić tylko w kontekście innych ocen, pochodzących z tego samego czasu, a w takim układzie odniesienia słowa Wyki z pewnością nie wydadzą nam się najsurowsze. Najostrzej kryty-

kowano aparat władzy sanacyjnej w okresie tuż po klęsce wrześniowej oskarżając go powszechnie o doprowadzenie kraju do katastrofy. Oskarżenia owe były rodzajem zbiorowej psychoterapii; chodziło nie tyle o rzeczową analizę przyczyn klęski, ile o odreagowanie złudzeń, które okazały się zgoła infantylne. Wyka dla osiągnięcia skutku psychoterapeutycznego uruchamia coś w rodzaju groteskowego teatrzyku kukiełek. Warto zwrócić uwagę na swoistą stylizację tego fragmentu, nasuwającą podejrzenie, iż wchodzimy w krąg zabiegów magicznych: "Tydzień wystarczył, by rząd tej ziemi stał się wędrowcem, jak każdy jej obywatel najlichszy. Gnany bombami wroga, oburzeniem podwładnych, przemykał się zatłoczonymi drogami, przypadał na rzadkie postoje, aż w błahej mieścinie pokuckiej porzucił swój kraj, kiedy od wschodu ruszyło plemię drugie. Prezydent na obcej ziemi ukazał cudzoziemski paszport, marszałek wojsk zgubił gdzieś buławę. Ja nie szydę. Wspominam tylko sprawy bardzo niedawne, wstydlive i hańbiące, a czasem myślę, że może kiedyś będą one tragiczne" (s. 255).

Warto dodać, że fragment ten włączył później autor do eseju "O świecie", napisanego między 25 a 28 sierpnia 1942, który znalazł się w zbiorze "Życie na niby". Charakterystycznej zmianie uległo jednak zakończenie, wyostrające jeszcze oskarżycielski ton i dodające kolejną kukiełkę na scenę teatrzyku: "Kardynał dusz nieśmiertelnych pobłogosławił je przez graniczny szlaban. Ja nie szydę, tylko wspominam. Szydziła historia".

Ta druga wersja z artystycznego punktu widzenia jest bardziej konsekwentna: w teatrzyku kukiełek niemożliwe jest tragiczne uwznioślenie klęski - pozostaje zatem tylko szyderstwo. Ale tu autor popada w pewną sprzeczność stwierdzając w tym samym eseju, że szyderstwo historii właśnie jakby uległo złagodzeniu (przypomnijmy: jest rok 1942 - dwa lata po klęsce Francji, nie mówiąc już o pomniejszych krajach Zachodu): "Do czasu upadku Francji, do czasu i sposobu jej upadku - kampania wrześniowa była czymś zgoła niepojętym, czymś, co w świadomości odkładało się jako dowód wyjątkowego niedołęstwa militarne, gospodarczego i organizacyjnego Polski przedwrześniowej. Każde następne widowisko przyrządzone przez armie hitlerowskie zasępiało umysły, aż do ponownych w czerwcu 1940 roku, jak we wrześniu 1939, samobójstw, zasępiało od strony horyzontu europejskiego, w jakiś paradoksalny sposób roz-

jaśniało od strony polskiej. Nie byliśmy ostatni, do hańby i do przeraźliwego wstydu ostatni" (s. 23).

Faktem znanym i wielokrotnie stwierdzanym w różnych opracowaniach jest, że po klęsce Francji opada fala krytyki pod adresem przedwrześniowych władz Polski. Wyka oczywiście odczuwa tę zmianę nastrojów. Jego własne oceny też ulegają wyraźnej ewolucji.

Proponowana tu lektura "Pamiętnika po klęsce" nasuwa wrażenie, iż gorycz i gniew autora kierowały się raczej przeciw rodakom niż najeźdźcom. I tak jest w istocie. Najeźdźcy jawią mu się jako plemię bez reszty zdeterminowane przez własną historię, która jest historią podbojów. Niemcy są dla Wyki najeźdźcami niejako z natury, dlatego oskarżanie ich właściwie mija się z celem. Uważniej przyjrzy im się dopiero w esejach, które złożą się na tom "Życie na niby". Ale już w "Pamiętniku" zdarzają się spostrzeżenia zastanawiające swoją celnością. Tak np. wspominając aresztowanie profesorów i zamknięcie Uniwersytetu Jagiellońskiego autor rzuca Niemcom hitlerowskim oskarżenie wstrząsające w swej lapidarności: "Naród wyzerający drugim mózgi".

Natomiast "plemię drugie", które ruszyło od wschodu na Polskę 17 września, stało się przedmiotem uważnej obserwacji Stanisława Vincenza, który wydał w 1966 roku eseistyczną książkę "Dialogi z Sowietami". Nie jest to chyba najbardziej znacząca pozycja w dorobku eseistycznym emigracji, poświęconym tej drugiej części polskiego losu i doświadczenia wojennego. Na plan pierwszy z pewnością wysuwają się takie książki, jak Gustawa Herlinga-Grudzińskiego "Inny świat", Aleksandra Wata "Mój wiek" czy Józefa Czapskiego "Wspomnienia starobielskie" i "Na nieludzkiej ziemi", ale "Dialogi" Vincenza najszczegółowiej opisują właśnie doświadczenie Września; doświadczenie przede wszystkim osobiste - w każdej chwili jednak widziane na tle losu zbiorowego, który od razu ujmują w najszerszych kontekstach historycznych i literackich. To - podobnie jak u Wyki - dążenie do nadania wymiaru eposu bieżącym wydarzeniom nie umniejsza dokumentarnej wartości relacji Vincenza, który bardzo wnikliwie obserwuje reakcje zbiorowe. Warto na przykład zacytować takie spostrzeżenie: "Wojnę z Niemcami przyjęli u nas wszyscy, chyba pacyfiści także. Ale z Sowietami? Cóż to? Napad, protektorat dla ochrony przed Niemcami, czy zaborcza gratka?"⁹. Autor sugeruje, że te pytania zadawano sobie powszechnie,

co znaczyłyby, iż antysowiecka propaganda i koncepcja "dwóch wrogów" nie zdołały przekonać społeczeństwa i przygotować go psychologicznie na ewentualność agresji ze wschodu. Spostrzeżenie Vincenza jest tym bardziej zastanawiające, że dotyczy ludności terenów wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej, gdzie ewentualne zagrożenie ze strony ZSRR powinno być szczególnie silnie odczuwane.

Niespodziewana z tej strony agresja stała się jednak faktem, wywołując - instynktowny u mieszkańców tych ziem, które od stuleci były pustoszone najazdami - odruch ucieczki. Kierunek ucieczki mógł być tylko jeden: ku granicy węgierskiej. Już 18 września znaleźli się na starym szlaku:

"I oto my wszyscy razem raniutko na przełęczy Tatarskiej jak za dawnych czasów. Za nami i przed nami wymowne perspektywy, wspomnienia dziejowe: od północnego wschodu dawniejsze, tatarskie, a od południa niedawne nieco pogodniejsze: monarchii austro-węgierskiej i lat 1914 i 1916 z czasów kiedy było jeszcze dokąd uciekać" (s. 15).

Te ostatnie słowa wyrażają świadomość zasadniczej odmienności sytuacji, w której nie było już dokąd uciekać. Czy jednak tę świadomość mieli uciekinierzy już 18 września? Czy miał ją wtedy sam autor? Trudno powiedzieć. Raczej jest to już wiedza późniejsza.

Nastroje panujące na przełęczy Tatarskiej były przedmiotem baczonej uwagi Vincenza, który z całym uznaniem podkreślał powściągliwość, z jaką to nader zróżnicowane zbiorowisko ludzkie wypowiadało się o swoim losie:

"Jedno przecież, jak pamiętam, odróżniało uchodźców z przełęczy Tatarskiej od wielu ich późniejszych współbraci. Przynajmniej tego jednego nie popełniali masowo: nie kazali sobie płacić za swe niedawne iluzje. Stąd nikt nie wykrzykiwał i nie wypierał się: »To nie ja, to nie my, to nie naród, to wszystko wszyściutko rząd«. Mieli na tyle pamięci, nie wyrzekali się, że wczoraj byli zjednoczeni z rządem w nadziei ogólnonarodowej. Nie oskarżali nikogo, nie powiększali naszej i tak już dość tragicznej śmieszności" (s. 17-18).

Jak widać, Vincenz znał doskonale ów mechanizm odreagowywania, którym posługiwał się także Wyka, odprawiając swoje szydercze egzorcyzmy wokół kukiełek wyobrażających prezydenta, marszałka i kardynała. Autor "Pamiętnika po klęsce" jakby próbował rozdzielić

tragiczność i śmieszność, przypisując pierwszą wyłącznie prostym żołnierzom i szarym obywatelom, a drugą - skompromitowanej władzy. Vincenz niejako unieważnia podobne zabiegi, przypisując zarówno władzy, jak i podwładnym "tragiczną śmieszność". Takie ujęcie na powrót integruje zbiorowość Polaków rozdartą sporami o odpowiedzialność za klęskę wrześniową. Samą klęskę przedstawia z kolei autor w sposób zbliżony do jej pierwotnego ujęcia przez Wykę - a więc jako kataklizm spowodowany przez siły w swoim ogromie porównywalne tylko z żywiołami przyrody:

"Uzmysławialiśmy sobie ponownie sytuację zupełnie jedyną. Dwa gigantyczne systemy choć niby dotąd śmiertelnie sobie przeciwne, połączyły się nie dla czego innego, tylko właśnie po to, aby rozerwać i zdusić nasz kraj. Nasunęły się nań żywiołowo jeden jak lawina z hukiem, a drugi jak cichy lodowiec z moreną u spodu. A ich precyzyjne współdziałanie ukazywało nam rozpaczliwość położenia. Cały kraj odczuwał podobnie" (s. 22).

Końcowe stwierdzenie każe interpretować cytowany fragment jako zapis nowo powstałego mitu zbiorowego autorstwa. Miał on podtrzymać wysoką samoocenę narodu wobec bezprzykładnej klęski. Otóż ta klęska, paradoksalnie, podniosła znaczenie Polski w oczach Polaków, bo została zadana przez dwie gigantyczne siły, których w y ł ą c z n y m (tu jest jądro mitu) celem było zniszczenie naszego kraju. W ten sposób Polacy nie tylko nie tracą poczucia swojej wyjątkowości, ale je umacniają. Stali się wprawdzie przedmiotem agresji - a więc stracili swoją polityczną podmiotowość - ale przedmiotem o wyjątkowym dla dwóch potęg (a później dla całego świata) znaczeniu. Mogłoby się wydawać, że dalszy ciąg wydarzeń wojennych musiał unicestwić ów mit oparty na przekonaniu z Września 39 roku, że Polska była wyłącznym obiektem agresji; ale mit okazał się nader żywotny, a wynikające z niego możliwości interpretacji faktów historycznych praktycznie nieograniczone. Nader łatwo było dokonać zasadniczej korekty w obrębie samego jądra mitu: Polska nie była wprawdzie jedynym, ale była pierwszym i najważniejszym obiektem agresji; napaść na Polskę rozpętała II wojnę światową. Późniejsze wydarzenia tłumaczą się już gładko: Francja padła ofiarą hitlerowskiego podboju za karę, że nie udzieliła Polsce pomocy we Wrześniu; dwaj podstępni agresorzy musieli sobie w końcu skoczyć do gardła... itd. W tych pseudointerpretacjach

centralna rola Polski staje się niepodważalnym pewnikiem. Jest to oczywiście, powtórzmy, zbiorowa samoobrona przed poczuciem degradacji - zrozumiała w kategoriach psychologii społecznej, ale fatalna w skutkach, gdyż prowadzi do rozluźnienia kontaktu z rzeczywistością, której obraz kształtują bardziej pragnienia niż fakty.

Rejestrując powszechne nastroje i stany świadomości Vincenz nie pomija opinii i postaw biegunowo odmiennych. Notuje na przykład takie słowa jednego z uchodźców, który mitygował wojskowego rwącego się do walki podziemnej: "[...] nasz kraj jakby wykorzenił z siebie wszelki instynkt polityczny, który posiadał jeszcze sto lat temu. Umie myśleć tylko w formacjach państwowo-wojskowych, bo wszyscy chcą jednego tylko: słuchać. Staliśmy się Pipidówką a teraz Atlantyda" (s. 26).

Wypowiedź skłaniająca do zadumy nad polską "ucieczką od wolności", która nastąpiła w dwudziestolecie międzywojennym; a najodpowiedniejszym dla niej kontekstem jest chyba wspomniana już rozprawa z tym okresem, jaką Gombrowicz przeprowadził w "Dzienniku".

Jest jednak i drugi aspekt poruszonej w przytoczonym cytacie kwestii: węższy, obejmujący doświadczenie szeregowego żołnierza z kampanii wrześniowej - tylekroć potem ukazywane w literaturze. Najzwięźlejsz chyba zapisuje je Miłosz w "Rodzinnej Europie":

"Kiedy zaczął się »Blitzkrieg« odczuwałem potrzebę wypełnienia rozkazów i pozbycia się przez to odpowiedzialności. Niestety kogoś kto by wydawał rozkazy nie tak łatwo było znaleźć"¹⁰.

Zbiorowy portret Polaków w momencie klęski jest chyba ciekawszy w książce Vincenza od próby przedstawienia sowieckiego "innego świata", choć to ona wydaje się być zasadniczym celem napisania "Dialogów z Sowietami". Ponieważ określenie "inny świat" zrobiło taką karierę za sprawą książki Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, może warto za Vincenzem przytoczyć wypowiedź historyka Elie Halévy'ego, w której ono również się pojawia: "Kiedy przekracza się granicę rosyjską ma się nieodparte wrażenie, że wyszło się z jednego świata aby wkroczyć w świat inny: podobne wyrócenie wszystkich wartości można rozważać tylko jako upoważnienie do ostatecznej tyranii"¹¹. Po takim cytacie, który powinien otwierać prawdziwie głębinowe analizy, spostrzeżenia Vincenza trochę rozczarowują, niemniej niektóre na długo zapadają w pamięć, jak np. to dotyczące "apokaliptycznej nudy »stalinizmu« przed którą chcia-

łoby się uciec z tego globu, gdyby rozpostarła się wszędzie" (s. 179). Tej nudy nie była w stanie rozproszyć nawet codzienne groza.

Warto również zwrócić uwagę na groteskowe aspekty "innego świata", które są ujawniane przez drobne na pozór zdarzenia o posmaku anegdoty. Bohaterem jednego z nich jest naczelnik oddziału finansowego, który namawia swoich podwładnych do upozorowania włamania i podzielenia się pieniędzmi. Nieśmiała odmowa jednego z pracowników - młodego absolwenta gimnazjum, który zgadza się nawet podpisać protokół, ale nie chce wziąć pieniędzy z obawy przed ojcem - wywołuje atak furii naczelnika, który wyrzuca go z urzędu ze słowami: "Ubirajsja won, durak! My bez ciebia postroim socjalizm!" (s. 168).

Świat, w którym złodziej zawiaszczył patetyczne frazesy i nazywa uprawiany przez siebie proceder budową socjalizmu, jest światem groteski. Groteska wyziera również z osławionej akcji upowszechniania kultury wśród mas. Vincenz wspomina np. koncert skrzypcowy Beethovena nadawany przez gigantyczny głośnik. "Tak jakby maszyny zgrzytały a tryby grzechotały na to by ogłuszyć i przerazić. Dopiero w oddaleniu czterech kilometrów od miasta można było rozpoznać ów koncert" (s. 164).

"Dialogi z Sowietami" świadczą, że ich autor już we wrześniu 39 roku zobaczył stalinowski świat pozorów, świat na niby, w którym prawdziwe były tylko cierpienie i śmierć. Nie mógł jeszcze wówczas ogarnąć całej grozy tego, co Nadieżda Mandelsztam nazwała później "cywilizacją więzienną", dostrzegł jednak zniewolenie ludzi i straszliwe marnotrawstwo systemu opartego na pracy przymusowej: "/.../ Instytucja wyciąga z człowieka jedynie minimum pożyteczności społecznej, pozyskuje bowiem miliony robotników przymusowych, tj. jakościowo najmarniejszych. A przynosi tym »pożytecznym« tylko mękę i zniżaczenie" (s. 179).

x

L. M. Bartelski w eseju zatytułowanym "Wielka książka września" cytuje słowa Kazimierza Wyki: "Kiedy ostatnie wozy zjeżdżają z dobytkiem do stodół, kiedy pierwsze podorywki ciemno się znaczą w wysuszonym upalnym latem krajobrazie, kiedy jarzębiny już przysposobiły na jesień czerwone okiście - pamięć ludzi mojego pokolenia nieuchronnie pochyla się nad schyłkiem lata 1939. Grzebiemy w zdawałoby się dawno wypalonym ognisku, stara spalenizna i popioły

wciąż parzą palce"¹². Dodajmy, że w tych popiołach szukają nie tylko ludzie jego pokolenia, już odchodzącego, ale także chyba przedstawiciele każdego dorosłego pokolenia. Szukają przede wszystkim odpowiedzi na ciągle to samo pytanie: czy katastrofa Września była nieunikniona? Powraca ono po dzień dzisiejszy. Aleksander Bocheński (starszy od Wyki o sześć lat) wrócił do niego na początku lat siedemdziesiątych, upatrując przyczyny klęski w micie "odwiecznego wroga", który zdeterminował polską politykę w dwudziestoleciu: "Niebezpieczeństwo mitu »odwiecznego wroga« polegało na tym, iż nasza sytuacja i stosunek sił był taki, że tylko ścisła współpraca z jednym, jeżeli nie z obydwooma mocarstwami sąsiednimi dać mogła już nie tylko rozwój, ale nawet jedyną możliwość istnienia. W tych warunkach, przy tym stosunku sił, jaki był, pogarda, lekceważenie, wroga postawa psychiczna lub niechęć niektórych kręgów inteligencji do Związku Radzieckiego i do Niemców jednocześnie przynieść musiały nieuchronnie klęskę"¹³.

A oto odpowiedź najświeższej daty, sugerowana przez Wiesława Władykę, przedstawiciela pokolenia urodzonego już po wojnie: "Czy Polska miała szansę uniknięcia klęski wrześniowej, czy istniały jakiegokolwiek realne możliwości innego politykowania »między Rosją i Niemcami«? Reguły, które określają relacje między państwami, są jakby bardziej trwałe niż te, które regulują życie społeczeństw, wewnątrz tych państw. Świat się oczywiście zmienia, ale słabi są zawsze słabsi od silnych"¹⁴.

Odpowiedź dość enigmatyczna - jedno wszakże stawia jasno: że słabość jest naszą długotrwałą kondycją. Ale tu już autor myśli raczej o roku 1989 niż 1939.

¹ M. Jastrun, *Podobny do bogów*, [w:] *Mit śródziemnomorski*, Warszawa 1962, s. 9.

² S. Mackiewicz, *Zielone oczy*, Warszawa 1959, s. 249.

³ Tamże, s. 167.

⁴ W. Gombrowicz, *Dziennik 1953-1956*, Kraków 1986, s. 204-205.

- 5 J. Stempowski, *Eseje dla Kassandry*, Paryż 1961, s. 33-35.
- 6 K. Wyka, *Życie na niby. Pamiętnik po klęsce*, Kraków 1984, s. 226. Wszystkie cytaty tamże.
- 7 Cz. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Paryż 1959, s. 172.
- 8 K. Wyka, tamże, s. 245.
- 9 S. Vincenz, *Dialogi z Sowietami*, Londyn 1966, s. 11. Wszystkie cytaty tamże.
- 10 Cz. Miłosz, tamże, s. 171.
- 11 S. Vincenz, tamże s. 88.
- 12 L.M. Bartelski, *Wielka książka września*, [w:] *Cień wojny*, Warszawa 1983, s. 153.
- 13 A. Bocheński, *Rzecz o psychice narodu polskiego*, Warszawa 1986, s. 34.
- 14 W. Władyka, *Druga Rzeczpospolita i my*, "Polityka" 1989, nr 45.